

ROZDZIAŁ 1

Nie znoszę tych comiesięcznych piątkowych widowisk. W wiosce robi się tłoczno, a teraz, w samym środku upalnego lata, to akurat najmniej potrzebne. W cieniu, gdzie się chowam, można jeszcze jakoś wytrzymać, ale od odoru spoconych po porannej pracy ciał mleko mogłoby skwaśnieć. Powietrze drga z powodu upału i wilgoci, ciepła jest nawet woda w kałużach stojących po wczorajszej burzy; wirują w niej kolorowe wstęgi oleju i tłuszczu.

Rynek powoli się zwija, wszyscy zamykają kramy, na dziś już koniec harówki. Handlarze są rozkojarzeni, nie-uważni i bez trudu wybieram sobie z ich towarów to, na co przyjdzie mi ochota. Po chwili kieszenie mam wypchane świecidełkami, w dłoni ściskam jabłko na drogę. Nieźle, jak na kilka minut pracy. Zwarta ciżba prze coraz bardziej do przodu, ja zaś pozwalam się nieść prądowi ludzkich ciał. Dłonie śmigają mi na prawo i lewo, badając otoczenie krótkimi ruchami. Tu banknot wyjęty z kieszeni jakiegoś mężczyzny, tam bransoletka zsunięta z damskiego nadgarstka – nic wielkiego. Mieszkańcy wioski są

zbyt zajęci mozolną przepychanką, aby zwrócić uwagę na kieszonkowca.

Wszędzie dookoła trzy metry nad błotnistą ziemią wznoszą się wysokie budynki na palach, od których osada wzięła swą nazwę (bardzo oryginalną – Pale). Wiosną niżej położony brzeg znajduje się pod wodą, ale teraz mamy sierpień i okoliczną ludność trapi odwodnienie i wypryski słoneczne. Prawie wszyscy z utęsknieniem wyglądają pierwszego piątku miesiąca, kiedy wcześniej kończy się dzień pracy i nauki. Wszyscy, prócz mnie. Ja wolałabym siedzieć w klasie pełnej dzieciaków i nic nie robić.

W sumie posiedzę w tej szkole niezbyt długo. Zbliżają się moje osiemnaste urodziny, a wraz z nimi pobór do wojska. Nie poszłam do terminu, nie mam pracy, zatem wysłał mnie na wojnę tak samo jak wszystkich innych „próżniaków”. Nic dziwnego, że niewiele pracy zostało, skoro każdy mężczyzna, kobieta i dziecko myślą tylko o tym, jak wymigać się od wojska.

Moi bracia poszli na wojnę, kiedy skończyli osiemnaście lat, wszystkich trzech rzucono do walki przeciwko Lakelandczykom. Jedynie Shade potrafi jako tako pisać i wysyła mi listy, kiedy tylko może. Od pozostałej dwójki, Bree i Tramy’ego, nie mam żadnych wieści od ponad roku. Ale brak wiadomości to dobra wiadomość. Niektóre rodziny latami nie dostają listów, aż w końcu pewnego dnia w progu domu stają ich synowie lub córki, którzy przyjechali na przepustkę albo jakimś cudem zostali zwolnieni ze służby. Zwykle jednak otrzymuje się zawiadomienie na grubym papierze opatrzonym królewską pieczęcią z krótkimi podziękowaniami za służbę dziecka, które zginęło bohaterską śmiercią. Może nawet dostaje się kilka guzików z podartego, zniszczonego munduru.

Miałam trzynaście lat, kiedy Bree wyjechał. Pocałował mnie w policzek, po czym podarował mi i naszej młodszej siostrze Gisie parę kolczyków, którymi miałyśmy się podzielić. Wiszące szklane paciorki w mglistoróżowym kolorze zachodzącego słońca. Jeszcze tego samego wieczoru przebiłyśmy sobie uszy. Tramy i Shade podtrzymali tradycję dawania upominków przed wyjazdem. Teraz jedno moje ucho i jedno ucho Gisy zdobią trzy różne kolczyki, pamiątki po braciach walczących gdzieś na wojnie. Tak naprawdę nie wierzyłam, że będą musieli iść do wojska, dopóki nie zjawił się legionista w swojej wypolerowanej zbroi i nie zabrał ich, jednego po drugim. A tej jesieni przyjdą po mnie. Zaczęłam już oszczędzać – i kraść – żeby było mnie stać na kolczyki dla Gisy.

„Nie myśl o tym”. Tak powtarza mama, kiedy wspomnę coś o wojsku, o braciach, o czymkolwiek. „Świetna rada, mamo”.

W dole ulicy, na skrzyżowaniu dróg Mill i Marcher, tłum gęstnieje i coraz więcej mieszkańców wioski przyłącza się do pochodu. Banda dzieciaków, złodziejasków przyuczających się do fachu, rzuca się w sam środek ludzkiego wiru i w ruch idą zwinne, lepkie palce. Są za mali, żeby mieć tę sztukę dobrze opanowaną, dlatego strażnicy szybko ich wyłapują.

Nagle czuję delikatny ucisk na wysokości pasa, więc instynktownie się obracam. Szybkim ruchem chwytam dłoń należącą do niemądrego gówniarza, który próbował mnie okraść, i ściskam ją mocno, aby małolat się nie wyrwał. Jednak zamiast wymizerowanego dzieciaka, widzę twarz rozciągniętą w znaczącym uśmiechu.

Kilorn Warren. Uczeń rybaka, sierota wojenna i prawdopodobnie mój jedyny prawdziwy przyjaciel. Jako dzieci tłukliśmy się niemiłosiernie, ale teraz, kiedy dorośliśmy

i przewyższa mnie o jakieś trzydzieści centymetrów, staram się unikać kłótni z nim. Ale dalej przydaje się do różnych rzeczy. Na przykład do podawania przedmiotów z najwyższych pólek.

– Robisz się coraz szybsza – chichocze, uwalniając się z mojego uchwytu.

– Albo ty coraz wolniejszy.

Przewraca oczami i wyjmuję mi z ręki jabłko.

– Czekasz na Gisę? – pyta, odgryzając spory kęs.

– Jest uziemiona. Pracuje.

– No to ruszajmy. Inaczej przegapimy widowisko.

– I to dopiero byłaby tragedia.

– Nu-nu, Mare – droczy się ze mną i grozi mi palcem. – Przecież robią to specjalnie dla nas, żebyśmy świetnie się bawili.

– Robią to specjalnie dla nas, żeby nas ostrzec, ciemniaku.

Kilorn jednak sady już przed siebie długimi krokami, przez co ja muszę niemal biec, aby za nim nadążyć. Idąc, rozstawia szeroko nogi i przechyla się raz w jedną, raz w drugą stronę. „Marynarski chód”, mawia, choć nigdy nie był na otwartym morzu. Jednak godziny spędzone w rybackiej łodzi na rzece najwyraźniej zostawiły swój ślad.

Podobnie jak mój tata, ojciec Kilorna został wysłany na wojnę, ale mój wrócił bez nogi i płuca, a pan Warren w pudełku po butach. Niedługo potem matka Kilorna uciekła, zostawiając synka samemu sobie. Niemal umarł z głodu, ale mimo to cały czas wszczynał ze mną bójki. Dokarmiałam go, żebym nie musiała się bić ze szkieletem, a teraz, dziesięć lat później, proszę, co z niego wyrosło. I na dodatek jest w terminie i nie będzie musiał iść na wojnę.

Docieramy do stóp wzgórza, gdzie tłum jeszcze bardziej gęstnieje, wszyscy się pchają i szturchają. Obecność na pierwszopiętkowym widowisku to obowiązek, z którego są zwolnieni tylko „niezbędni pracownicy”, na przykład moja siostra. Jak gdyby haftowanie jedwabiu było zajęciem niezbędnym. Ale przecież Srebrni uwielbiają swoje jedwabne tkaniny, nieprawdaż? Nawet strażników, przynajmniej niektórych, można przekupić kawalkami materiału wychodzącymi spod ręki Gisy. Choć oczywiście nie znam się na tym.

Gdy wspinamy się po kamiennych schodach wiodących na grzbiet wzgórza, cienie wokół nas pogłębiają się. Kilorn przesadza po dwa stopnie naraz, ja zostaję z tyłu, ale wtedy on się zatrzymuje i czeka na mnie. Uśmiecha się z wyższością i odgarnia z zielonych oczu kosmyk wypływających od słońca włosów.

– Czasami zapominam, że drepcesz jak dziecko.

– Lepsze to niż myśleć jak dziecko – odburkuję i przechodząc obok niego, klepię go delikatnie w policzek, po czym wspinam się dalej. Dobiega mnie jego śmiech.

– Zrzedzisz bardziej niż zwykle.

– Po prostu nie znoszę tych zbiegowisk.

– Wiem – mamrocze, tym razem z powagą.

Po chwili wychodzimy na arenę, z nieba leje się żar. Wzniesiony dziesięć lat temu amfiteatr to z pewnością największa budowla w Palach. Naturalnie to nic w porównaniu z gigantycznymi arenami budowanymi w miastach, ale mimo to widok strzelistych stalowych łuków i tysięcy metrów zalanych betonem potrafi zaprzeć dech w piersiach dziewczynie ze wsi.

Wokoło roi się od strażników, ich srebrno-czarne mundury wyraźnie odcinają się na tle tłumu. W końcu mamy pierwszy piątek, a oni wprost nie mogą się doczekać tej

uroczystości. Są uzbrojeni, niektórzy mają nawet strzelby lub pistolety, choć tak naprawdę nie potrzebują broni. Zgodnie ze zwyczajem do straży należą jedynie Srebrni, a im nic nie grozi ze strony nas, Czerwonych. Wszyscy o tym wiedzą. Nie jesteśmy im równi, choć nie widać tego na pierwszy rzut oka. Jedyna rzecz, która nas różni, przynajmniej na zewnątrz, to postawa. Srebrni noszą głowy wysoko, a nasze plecy przygniata do ziemi ciężar wytężonej pracy, niezrealizowanych nadziei i rozczarowania nieuniknionym losem, który przypadł nam w udziale.

Wewnątrz amfiteatru panuje prawie taka sama spiekota jak na zewnątrz i Kilorn, zawsze czujny, prowadzi mnie do cienia. Na widowni nie ma krzeseł, siedzimy na długich betonowych ławkach i tylko Srebrni, usadowieni nad nami w chłodnych, komfortowych łóżach, zażywają luksusu. Mają napoje, jedzenie, lód nawet w samym środku lata, wyściełane fotele, lampy elektryczne i inne zbytki, które nigdy nie będą mi dane. Srebrni przyjmują to wszystko bez mrugnięcia okiem i jednogłośnie narzekają na „okropne warunki”. Ja bym im pokazała okropne warunki. Dla nas przygotowano jedynie twarde ławki i kilka ekranów wideo tak jaskrawych i wrzaskliwych, że niemal nie do zniesienia.

– Stawiam dniówkę, że dziś znów wygra jakiś Siłacz – oznajmia Kilorn, celując ogryzkiem jabłka w nieckę areny.

– Nie zakładam się – ucinam. Niektórzy Czerwoni lubią obstawiać walki w nadziei, że wygrana pomoże im przeżyć kolejny tydzień. Ja jednak nie bawię się w to, nawet z Kilornem. Łatwiej zwędzić sakiewkę bukmacherowi niż wzbogacić się na walkach. – Znów wyrzucasz pieniądze w błoto.

– Nie wyrzucam, bo mam rację. Zawsze jakiś Siłacz spuszcza reszcie łanie.

Silacze zwykle zwyciężają w przynajmniej połowie walk, ponieważ dzięki swoim zdolnościom i umiejętnościom chyba najbardziej ze wszystkich Srebrnych nadają się do areny. Wydają się upajać jatką i tym, że przy użyciu nadludzkiej siły miotają innymi czempionami niczym szmacianymi lalkami.

– A co powiesz o pozostałych? – pytam i w myślach przeglądam katalog Srebrnych, którzy mogą się dziś pojawić. Psychicy, Zwinni, Wodniaki, Zieleńce, Twardoskórzy. Na sam ich widok serce podchodzi do gardła.

– Zobaczymy. Oby pokazali coś niezłego. Chcę się dziś dobrze bawić.

Kilorn i ja nie dogadujemy się w sprawie tego, co ja nazywam Pierwszopiątkowymi Pokazami. Nie sprawia mi przyjemności przyglądanie się, jak dwóch mocarzy skacze sobie do gardeł, ale Kilorn to uwielbia. „Niech się tłuką – mówi. – To nie nasi”.

Nie rozumie, o co chodzi w Pokazach. Nie jest to bezmyślna rozrywka mająca zapewnić Czerwonym wytchnienie po codziennej harówce. To wiadomość, chłodna i wyrachowana. Tylko Srebrni walczą na arenie, ponieważ tylko oni mogą wyjść z tych starć cało. Walczą, żeby pokazać nam swoją siłę i moc. „Nie dorównujecie nam. Jesteśmy od was lepsi. Jesteśmy bogami”. Ten przekaz pobrzmiewa w każdym nadludzkim ciosie wymierzonym przez czempionów.

I oczywiście jest to prawda. W zeszłym miesiącu oglądałam walkę Psychika ze Zwinnym i chociaż ruchy Zwinnego były tak szybkie, że nasze oczy nie mogły za nimi nadążyć, Psychik dał mu radę. Samą tylko siłą swojego umysłu poderwał go z ziemi. Zwinny zaczął się dławić; wydaje mi się, że Psychik w niewidzialny sposób zacisnął mu gardło. Kiedy Zwinny posiniał na twarzy, ogłoszono

zwycięzcę pojedynku. Kilorn nie posiadał się z radości. Postawił na Psychika.

– Panie i panowie, Srebrni i Czerwoni, witamy na pokazie w pierwszy piątek sierpnia. – Tubalny głos prezentera odbija się echem od ścian amfiteatru. Jak zwykle wydaje się znudzony i wcale mu się nie dziwię.

Kiedyś pokazy nie były pojedynkami, ale egzekucjami. Więźniów i wrogów państwa przewożono do Archeonu, stolicy, i zabijano na oczach tłumnie zebranych Srebrnych. Przypuszczam, że spodobało się to Srebrnym tak bardzo, że zaczęli urządzać pojedynki. Nie po to, aby zabijać, ale dla rozrywki. Tak powstały pokazy, które przeniosły się również do innych miast, na inne areny, przed inną publiczność. W końcu pozwolono oglądać je również Czerwonym, zepchniętym na najgorsze miejsca. Nie trzeba było długo czekać, żeby Srebrni zaczęli wszędzie budować amfiteatry, nawet we wioskach takich jak Pale, a obecność podczas pojedynków z przywileju stała się obowiązkiem i przekleństwem. Wszystko dlatego, twierdzi mój brat Shade, że dzięki walkom na arenach w miastach znacznie spadła liczba przestępstw popełnianych przez Czerwonych, rzadziej wyrażali oni swoje niezadowolenie, a nawet rzadziej się buntowali. Teraz Srebrni w celu utrzymania spokoju nie musieli urządzać egzekucji, wyprowadzać legionów ani choćby straży; równie skutecznym straszakiem byli walczący czempioni.

Dzisiaj kolejnych dwóch ma wypełnić to zadanie. Pierwszy na posypaną białym piaskiem arenę wkracza Cantos Carros, Srebrny z Wielkiej Zatoki na wschodzie kraju. Na ekranie wyraźnie widać jego sylwetkę. Prezenter nie musi dodawać, że ten wojownik jest Siłaczem. Ma ramiona jak pnienie drzew, żylaste, nabrzmiałe od mięśni napinających skórę do granic wytrzymałości. Kiedy się

uśmiecha, widać, że brakuje mu połowy zębów, zaś druga połowa jest wyszczerbiona. Może jako dziecko jadł za dużo słodczy.

Siedzący obok mnie Kilorn wiwatuje, pozostali mieszkańcy wioski też ryczą z uciechy. Strażnik rzuca tym najgłośniejszym bochenek chleba w nagrodę za entuzjazm. Po lewej stronie inny Srebrny wtyka do ręki wrzeszczącemu dzieciakowi jaskrawożółty papiererek. Kartka na prąd – można za to dostać dodatkowy przydział elektryczności. A wszystko po to, żebyśmy bili brawo, wiwatowali i oglądali, nawet jeśli nie mamy na to ochoty.

– Świetnie, niech was usłyszy! – woła prezenter, przeciągając samogłoski i starając się wykrzesać z siebie choć trochę zapалу. – A teraz powitajmy jego przeciwnika, prosto ze stolicy, Samson Merandus.

Prawdopodobnie jest to jakiś mało znaczący potomek ważnej rodziny, który usiłuje zdobyć sławę na arenie. Wygląda blade i cherlawo w porównaniu ze stojącym naprzeciwko niego mięśniakiem, ale wrażenie robi jego wytworna niebieska stalowa zbroja wypolerowana na wysoki połysk. Mimo że powinien być wystraszony, wydaje się zdumiewająco spokojny.

Jego nazwisko brzmi znajomo, ale to akurat nie dziwi. Wielu Srebrnych należy do słynnych rodów zwanych domami i liczących dziesiątki członków. Naszym regionem, doliną Capital, włada rodzina Welle, ale nigdy w życiu nie widziałam gubernatora Welle. Przyjeżdża z wizytacją nie częściej niż raz czy dwa razy do roku, lecz nawet wtedy nie pofatyguje się zajrzeć do wioski Czerwonych takiej jak moja. Kiedyś widziałam jego statek rzeczny, smukłą łódź ze złotozieloną banderą. Jest Zieleńcem i kiedy przepływał, rosnące na obu brzegach drzewa gwałtownie rozkwitały, a z ziemi nagle wyrastały kwiaty. Patrzyłam

jak urzeczona, dopóki jeden ze starszych chłopaków nie zaczął rzucać kamieniami w statek. Nie trafił, kamienie z pluskiem powpadały do wody, ale chłopaka i tak zakuli w dyby.

– Na pewno wygra Siłacz.

Kilorn, marszcząc brwi, spogląda na mniejszego czempiona.

– Skąd wiesz? Jaką moc ma Samson?

– Co za różnica, i tak przegra – pryham i szykuję się do oglądania rozgrywki.

Rozbrzmiewa tradycyjne zawołanie. Wiele osób wstaje, żeby lepiej widzieć, ja jednak nie ruszam się z miejsca, stawiając tym samym niemy opór. Choć staram się panować nad sobą, w środku wszystko we mnie wrze. Gotuję się ze złości. I z zazdrości. Cały czas słyszę w głowie słowa: „Jesteśmy bogami”.

– Czempioni, zajmijcie miejsca.

Wojownicy posłusznie stają po przeciwnych stronach areny. Podczas walki broń palna nie jest dozwolona, Cantos dobywa więc krótkiego miecza o szerokiej głowni. Wątpię, żeby go potrzebował. Samson w ogóle nie wyciąga broni, ramiona ma opuszczone wzdłuż ciała, jego palce ledwie drgają.

W amfiteatrze rozlega się niskie buczenie. „Nie znoszę tego momentu”. Dźwięk wibruje w moich zębach, kościach, wwierca się w mózg, a ja czuję się tak, jak gdyby za chwilę miało mnie rozsadzić od środka. Wtedy dźwięk raptownie się urywa, zostaje po nim jedynie dzwonienie w uszach. „Zaczyna się”. Wypuszczam powietrze z płuc.

Od początku robi się krwawa łaźnia. Cantos szarżuje niczym byk, wzbijając za sobą tumany kurzu. Samson usiłuje odskoczyć, odepchnąć się ramieniem od nacierającego, ale Siłacz jest szybki. Chwyta przeciwnika za nogi

i rzuca nim, ten zaś przelatuje przez arenę niczym worek pierza. Gromkie okrzyki widzów zagłuszają ryk bólu Samsona, który wpada na betonową ścianę, ale grymas na jego twarzy mówi sam za siebie. Wojownik próbuje się pozbierać, jednak Cantos znów okazuje się szybszy i tym razem wyrzuca przeciwnika wysoko w górę. Samson ląduje bezwładnie na piachu, przez moment zdaje się, że została z niego sterta połamanych kości, on jednak znów dźwiga się na nogi.

– To chyba jakiś worek treningowy – śmieje się Kilorn. – Pokaż mu, Cantos!

Kilornowi nie zależy na dodatkowym bochenku chleba ani na paru minutach prądu więcej. Nie dlatego wznosi okrzyki. On naprawdę chce zobaczyć krew, krew Srebrnych, srebrzystą posokę na arenie. Nie szkodzi, że to właśnie ta krew decyduje o tym, kim nie jesteśmy, kim nie możemy się stać i kim tak bardzo pragniemy być. Kilorn po prostu chce ją zobaczyć i dalej oszukiwać się myślą, że oni są ludźmi, że można ich zranić i pokonać. Ale ja wiem swoje. Ich krew to groźba, ostrzeżenie i obietnica. „Nie jesteśmy tacy sami i nigdy nie będziemy”.

Oczekiwaniom Kilorna staje się zadość. Nawet ci zasiadający w łóżach widzą metaliczny, opalizujący płyn sączący się z ust Samsona. Srebrna smużka, odbijająca promienie niczym wodniste lustro, spływa po szyi na zbroję.

Taka jest prawdziwa różnica między Srebrnymi i Czerwonymi: kolor krwi. Ten jeden szczegół z jakiegoś powodu czyni ich silniejszymi, bystrzejszymi, lepszymi od nas.

Samson spluwa, srebrna krew przecina powietrze niczym świetlisty pocisk. Dziesięć metrów dalej Cantos mocniej chwyta miecz, szykując się do obezwładnienia go i zakończenia walki.

– Głupiec – mamroczę pod nosem. Wygląda na to, że Kilorn ma rację. „Worek treningowy”.

Cantos z tupotem biegnie po piasku, jego oczy płoną, unosi miecz. Raptem jednak zamiera w pół kroku, a płyty jego zbroi uderzają o siebie z brzękiem. Stojący na środku areny krwawiący wojownik wskazuje palcem Cantosa i przygważdża go spojrzeniem twardym jak stal.

Następnie Samson pstryka palcami, a wtedy jego przeciwnik powoli rusza przed siebie posłuszny ruchom rywala. Usta ma szeroko otwarte, jak gdyby był obłąkany albo przygłupi. „Jak gdyby odjęło mu rozum”.

Nie wierzę własnym oczom.

W amfiteatrze zapada śmiertelna cisza, wszyscy obserwujemy rozgrywającą się w dole scenę, choć niewiele z niej rozumiemy. Nawet Kilorn nie ma nic do powiedzenia.

– Szeptacz – mamroczę.

Nigdy wcześniej nie widziałam ich na arenie – wątpię, czy ktokolwiek widział. Szeptacze zdarzają się rzadko, są niebezpieczni i potężni, nawet jak na Srebrnych, nawet tych ze stolicy. Krążą o nich różne pogłoski, ale można je sprowadzić do jednej prostej i mrożącej krew w żyłach prawdy: potrafią wejść do czyjejś głowy, przeniknąć myśli i przejąć kontrolę nad umysłem. Właśnie to robi Samson, szeptem przebijając się przez zbroję Cantosa, przez jego mięśnie i wnikając do umysłu pozbawionego jakiejkolwiek ochrony.

Cantos unosi miecz, ręce mu drżą. Usiłuje się przeciwstawić Samsonowi, ale chociaż nie brakuje mu siły, jest bezradny wobec wroga gnieźdzącego się w jego głowie.

Samson porusza dłonią i po piasku rozlewa się srebrna krew, gdyż Cantos przecina własną zbroję i zatapia ostrze w swym ciele. Nawet na widowni słychać mdlący chlupot towarzyszący rozplataniu brzucha.

Z wnętrzości Cantosa tryska krew, po amfiteatrze przebiega szmer tłumionych okrzyków. Nigdy wcześniej nie widzieliśmy tu tyle krwi.

Zapalają się niebieskie światła, arenę zalewa upiorna poświata sygnalizująca koniec pojedynku. Na piasek wbiegają Uzdrowiciele, spiesząc w stronę leżącego Cantosa. Srebrni nie powinni tu umierać. Powinni dzielnie walczyć, dawać popis swoich umiejętności, zapewnić doskonale widowisko – ale nie umierać. Przecież nie są jakimiś tam Czerwonymi.

Strażnicy dwoją się i troją. Kilku z nich to Zwinni, przeemykają między nami tak szybko, że wydają się jedynie niewyraźnymi plamami. Zależy im, żeby jak najprędzej nas wyprowadzić. Jeśli Cantos ma umrzeć, nie chcą, abyśmy to widzieli. Tymczasem Samson schodzi z areny niczym bohater. Gdy zahacza spojrzeniem o ciało przeciwnika, spodziewam się wyczytać z jego twarzy skruczę, ona jednak nic nie wyraża, gości na niej obojętność i chłód. Pojedynek nic dla niego nie znaczył. My również nic dla niego nie znaczymy.

W szkole nauczyliśmy się o świecie, który istniał przed naszym światem, o aniołach i bogach mieszkających w niebie i sprawujących na ziemi mądre rządy łagodną ręką. Niektórzy twierdzą, że to zwykłe bajania, ale ja im nie wierzę.

Bogowie nadal nami rządzą. Przybyli z gwiazd. I nie są już łagodni.